WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK VI POZNAŃ GRUDZIEŃ 1936 NR 12 (62)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARIAN TURWID

MARIAN TURWID:

NA STRAŻY ŚWIĘTEGO OGNIA

Przyjedź wieczorem do małego miasta. Utoniesz w półmroku wąskich, niedalekich uliczek, skąpo oświetlonych nielicznymi lampami. Zrzadka natrafisz na przechodnia, nie często na nierównym bruku zaturkoce mijający cię wóz. Ogarnia cię cisza i ciemność, a potem melancholja. W takiej chwili najłatwiej wniknąć zdołasz w atmosferę beznadziejnej monotonii „świata zabitego deskami".

A jeśli nie uciekniesz, jeśli los zmusi cię do zatrzymania się na dłużej, lub zgoła do pozostania na stałe, wówczas ujrzysz na własne oczy szeroką falę szarzyzny powszedniego dnia prowincji.

I przekonasz się niebawem, jak groźna jest ta fala, jak ogarnia wszystko i jak groźnie, a nieustannie rośnie.

Bronisz się. Z początku gwałtownie, ostro, rozpaczliwie. Szukasz sukursu w książkach, czasopismach, w radio. Ale sojusznik ten, choć bardzo cenny, nie wystarcza do utrzymania żywego kontaktu z ogniskami kultury. I albo zamkniesz się i zacieśnisz w samotności, albo w obawie przed odosobnieniem zrezygnujesz z poziomu, zejdziesz w dzień powszedni i promień twego marzenia skurczy się do ciasnych granic horyzontu małego światka.



ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI
rysował M. Turwid

Chyba, że trafisz na ludzi tęskniących podobnie jak ty, albo wyżej jeszcze niż ty patrzących ponad głowami tłumu w sprawy dalsze, niż wszystkie dzienne sprawy.

Wtedy znajdziesz nie tylko towarzysza niedoli, znajdziesz oparcie, pomoc a nawet przewodnika.

I wtedy myśleć można nie tylko o obronie przed zabójczą falą szarzyzny, ale o walce z nią, o zapalaniu świateł w półmrokach.

Niestety — mało jest jednak w „światach zabitych deskami" towarzyszów niedoli, a jeszcze mniejsza, znikoma wręcz, jest liczba przewodników w walce o światło.

Wśród tej garstki — w Wielkopolsce jedno z czołowych miejsc zajmuje — Andrzej Prądzyński.

Zajmuje je nie od dziś, nie od wczoraj — zajmuje je od pół wieku. Bo minęło właśnie pięćdziesiąt lat od chwili, gdy Andrzej Prądzyński rozpoczął swój uparty bój z mrokami prowincji.

Uświadomił sobie swą misję bardzo wcześnie. W latach, gdy inni tracą czas na poszukiwania, błądzenia, dobierania ról i przymierzania masek.

Być może dopomógł mu tu trochę przypadek. Ciężkie doświadczenia losu tak często otwierają drogi proste i jasne.

Prądzyńskiemu — początek drogi życiowej znaczony był klęską. Na zamożną, ziemiańską rodzinę pada grom. Ginie ojcowski majątek, usuwa się oparcie tak potrzebne młodemu, w gimnazjum w Trzemesznie uczącemu się chłopcu.

Nie ma rady. Trzeba rzucić szkołę, i trzeba bez żadnych ceregieli, stanąć do twardej walki o byt.

Młody Andrzej rzuca szkołę, ale nie rzuca książek. Zanadto je już zdążył pokochać. Postanawia zostać — księgarzem.

Młody chłopak, w tradycjach szlacheckich wychowany, wspaniałe, rycerskie nazwisko noszący, rezygnuje ze zwykłej dla ziemian bez ziemi utartej drogi i zamiast na cudzej wysługiwać się roli, staje za ladą gnieźnieńskiej księgarni.

Trzeba sobie to należycie uświadomić: Jeszcze i dziś najgłupszy ze staroszlacheckich przesądów spycha na niższy szczebel hierarchii towarzyskiej tych, którzy trudnią się kupiectwem i handlem.

A pół wieku temu, na ziemianina, który — nakazom tradycji i „szlachectwa" na przekór stawał za kupiecką ladą patrzano nieomal jak na zdrajcę, jak na wyrzutka.

Mimo to, młody Prądzyński odważnie rozpoczął swą pracę w zasłużonej księgarni „J. B. Lange" w Gnieźnie.

Na tej ambitnie prowadzonej placówce znalazł przyszły księgarz najlepszą szkołę. Po czterech latach zdolny praktykant zostaje „wyzwolony" na pomocnika i — wkrótce potem zmuszony jest zmienić księgarnię na koszary gwardii cesarza Wilhelma II w Berlinie. Po powrocie do „cywila" wraca młody Prądzyński do księgarni, pracując najpierw w jednej z najpoważniejszych berlińskich firm wydawniczych, a następnie w Gnieźnie i Lwowie. We Lwowie zatrzymuje się na dłużej. Tu spokojny, poważny Wielkopolanin styka się po raz pierwszy z bujną, gorącą, rozlewną polskością pełnych temperamentu Lwowian. Wchłania w siebie pełnymi haustami atmosferę tego miasta, które tyle z siebie dawało przez wieki Polsce, polskiej kulturze i polskiej sztuce.

Nadchodzi pamiętny rok strajku szkolnego we Wrześni. Głośny i bohaterski czyn dzieci wrzesińskich sprawia, że w ich to właśnie mieście młody, ale już doświadczony księgarz postanawia założyć własne przedsiębiorstwo. Postanawia książkę polską zanieść tym, którzy o polskie słowo z taką walczyli ofiarnością i męstwem.

I od razu — rzecz oczywista — księgarnia Prądzyńskiego staje się „główną kwaterą" sprawy wrzesińskiej i jej przyjaciół. Ona dostarcza materiałów, artykułów i przyczynków do głośnego na całym świecie procesu. W jej nakładzie ukaże się później pierwsza broszura poświęcona opisom pamiętnych zdarzeń.

Bo Prądzyńskiemu nie wystarcza samo tylko propagowanie i sprzedawanie książki. On chce mieć udział przy jej tworzeniu. Zakłada przeto obok księgarni — własną drukarnię.

Od umiłowanej, choć uciążliwej pracy odrywa go na całe cztery lata — Wielka Wojna. Księgarz znów zmuszony jest przeobrazić się w gwardzistę. Po bohaterskiej ucieczce Wilhelma Ostatniego, jego gwardzista wraca coprędzej do Wrześni, by tutaj wziąć czynny udział w organizowaniu Powstania Wielkopolskiego. Wybrany jednogłośnie przewodniczącym Rady Rob. i Żołn. oczyszcza Prądzyński powiat i miasto z elementów niemieckich i wszystkie stanowiska, od starosty do woźnego, obsadza Polakami.

Teraz dopiero pomyśleć znów może o swej księgarni i o swej najmilszej pracy. Z rąk niemieckich wykupuje „Kreisblatt" i poczyna wydawać, ukazujący się stale po dziś dzień, „Orędownik Wrzesiński".

Raz jeden jeszcze tylko odrywa go od tej roboty czynny udział w tworzeniu „Legii Ochotniczej Wrzesińskiej", która w roku Inwazji Bolszewickiej powększyła szeregi armii ochotniczej. Po tej ostatniej dygresji wraca już Prądzyński na dobre do swego warsztatu. A warsztat ten coraz bardziej domaga się całkowitego oddania mu się i niestrudzonej czynności. Przychodzą bowiem lata złe. Lata strasznego obniżenia się poziomu kulturalnego, kryzysu książki katastrofalnego upadku czytelnictwa i zanikania placówek kulturalnych. Prądzyński staje w swoim regionie do walki z chamstwem, ciemnotą, prostactwem i strasznym powojennym analfabetyzmem kulturalnym. Jego księgarnia staje się znowu redutą. Ale w reducie tej nie jest już teraz Prądzyński sam. Swoim wpływem i przykładem pociągnął ku sobie młodych. Garną się ku niemu młodzi wrześniacy, ci — którym nie wystarcza ciasny krąg zainteresowań małomiejskich, którzy pragnęliby duszną atmosferę miasteczka przewietrzyć, uczynić ją podatną pod uprawę nietylko warzyw cywilizacyjnych, ale i kwiatów sztuki.

Bo Prądzyński — ukazując swoim młodym przyjaciołom horyzonty dalekiej, jednocześnie uczy ich przykazań w stosunku do ojczystego regionu. Pokazuje przykładem jak należy wiązać pracę dla celów wielkich z pracą dla najbliższego terenu. Na długo przed rozpowszechnieniem się regionalizmu szerzy Prądzyński regionalizm w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Jest znakomitym pedagogiem. Dobrym słowem i dobrym uśmiechem zmusza swoich przygodnych wychowanków do wytężonej i owocnej pracy. Aż wreszcie, kiedy koło jego uczniów, przyjaciół i współpracowników poczęło się rozrastać, Prądzyński zakłada „Wici Wielkopolskie". Z samej Wrześni do współpracy stają: Ks. Bronisław Szczebrzyc (obecny naczelny redaktor „Polaka we Francji") prof. Alfons Szyperski, Teodor Tałuna, bracia Deresiewicz, piszący te słowa, i cała jeszcze gromadka Pana Andrzejowych wychowanków. Do małego gabinetu redakcji „Orędownika Wrzesińskiego" i „Wici Wielkopolskich" przybywać poczynają ze wszystkich stron już nietylko Wielkopolski ale i Polski ludzie pokrewni duchem i entuzjazmem. Trudno ich wszystkich wyliczyć, regionalistów tak zapalonych, jak: Jesionowscy, Helsztyńscy, Dereżyńscy...

Dom Prądzyńskiego stał się przystankiem i przytułkiem dla przeróżnej braci artystycznej. Prądzyński bowiem umiał sobie poradzić z najniesforniejszym cyganem, zniewalał najdzikszych, najbardziej niepohamowanych wybrańców muz. Utalentowany humorysta, niepoprawny kawalarz, najmilszy wydrwigrosz Tadeusz Hernes pod okiem Prądzyńskiego stawiał swe pierwsze literackie kroki. Swietny karykaturzysta i niesamowity cygan Kazimierz Grus nie raz jeden zaglądał do małej, wrzesińskiej redakcji. Wspaniały rzeźbiarz, laureat Polskiej Akademii Umiejętn., Jakób Juszczyk tutaj wykonał kilka kapitalnych swoich dzieł, zanim nie przepadł i zginął bez wieści. Tutaj, po powrocie z Paryża znalazł schronienie i pomoc młody, bezdomny malarz — Lucjan Lewandowski, póki nie nabrał sił do dalszej walki z życiem. Młody, obiecujący poeta Leonard Turkowski z Oficyny Andrz. Prądzyńskiego wysłał w świat pierwszy tomik swoich wierszy...

Oficyna Andrzeja Prądzyńskiego — to rozdział osobny. Dużo by można pisać o wyczynach tej małej drukarni, która skromnymi dysponując środkami technicznymi do nadzwyczajnych dochodzi rezultatów. Tu także widoczny jest wpływ i entuzjazm człowieka, który poczciwych, Bogu ducha winnych zecerów umiał przeobrazić w najautentyczniejszych towarzyszów sztuki. Ale bo też każdy z zecerów Prądzyńskiego ma ambicje godne pierwszych majstrów czarno-białej sztuki. Dzięki tej ambicji każdy nowy tomik „Biblioteki Wici Wielkopolskich", to już nieomal cacko bibliofilskie. A jeśli tego zachodzi potrzeba to i reprodukcje barwne wykonać zdoła bez zarzutu mała, prowincjonalna drukarnia. Dobre się tedy słowo należy pracowitym Towarzyszom sztuki i ich kierownikowi, mistrzowi Ignacemu Perze.

Na „Bibliotece Wici W." nie ogranicza się działalność wydawnicza Oficyny Wrzesińskiej. Indeks jej wydawnictw znacznie jest bogatszy,

a obejmuje zwłaszcza pozycje związane z przeszłością regionu. Tu więc znajdziemy cenne przyczynki do „Strejku Szkolnego", „Bitwy pod Wrześnią" (Sokołowem w powst. w r. 1848) i „Legii Ochotniczej Wrzesińskiej" (w wojnie w r. 1920).

Bogata w plon była niestrudzona, półwieczna praca Prądzyńskiego. Bogata w troski, zawody, klęski i zwycięstwa. Z uporem, z anielską cierpliwością, z nieustanną czujnością i z całkowitym oddaniem się trwał Prądzyński na posterunku. Czuwał nad świętym ogniem. Ta mu bowiem przypadła do wypełnienia rola. Nie danem mu było samemu tworzyć, ale danem mu było uczestniczyć w tworzeniu twórców. Dostał mu się pod pieczę wielki szmat roli ugornej, roli nie wydającej talentów. Prądzyński zbyt dobrze znał swoj zagon rodzinny, by miał uwierzyć w legendę o ugorności. — Przeciwnie! — twierdził uporczywie Pan Andrzej, — rola jest dobra a tylko nieodpowiednio uprawiana! — I począł swój grunt, swój region uprawiać po swojemu. Mozolnie, ale z miłością i pełną wiarą w wartość powierzonej mu przez losy gleby. Najbliżsi patrzyli na niego nieomal z politowaniem. Drwili z cicha z jego idealizmu, z jego niezaradności kupieckiej, z jego niezdolności do robienia interesów, kariery, łowienia zaszczytów. Jednak głośno drwić nie mieli odwagi. Osoba Prądzyńskiego tyle zawsze budziła szacunku, jego przysłowiowa szlachetność i skromność tak zawsze wynosiły go ponad mizerię małomiejskiej opinii, że plotka, złośliwość i zawiść milknąć musiały w szerokim kręgu jego osoby i pracy. Zresztą, bądźmy sprawiedliwi. Mało kto tylu miał i ma przyjaciół. Przyjaciół wypróbowanych. Okazywało się to zawsze, ilekroć na Prądzyńskiego przychodziły ciężkie chwile. Podobnie — w jego chwilach radosnych. Jubileusz 50-lecia pracy Andrzeja Prądzyńskiego stał się manifestacją niezwykle w naszych czasach jednomyślnej i gorącej sympatii. Całe miasto wzięło udział w tej manifestacji. A duma wrześnian wzrosła, gdy jubileuszem jednego z współobywateli zainteresowała się cała Polska. W licznych pismach ukazały się artykuły, notatki, gratulacje. Pisma gratulacyjne nadesłali: Prymas Polski, Biskup Laubitz, ks. Kan. Prądzyński i liczni jeszcze przedstawiciele duchowieństwa, władz i organizacyj. Obok dostojników, literaci, wydawcy, nauczycielstwo. Okazało się, że Pan Andrzej znalazł przyjaciół tak wśród „wielkich", jak i „małych". Znalazł ich u wszystkich. Gabinet jego zasypano stosem depesz.

Notuję fakt ten z uwagi na jego pocieszającą wymowę. Bo hołd tu złożono jednomyślny nie wojownikowi, politykowi, wielmoży. Nie władza ani złoto skłoniły przed jubilatem tyle głów, przychyliły mu tyle serc. „Pomyślcie i zważcie u siebie": w okresie strasznego upadku poziomu kulturalnego, w okresie szalejącego kryzysu duchowego, złożono cześć — strażnikowi kultury.

Strażników kultury, szczerych, prawdziwych miłośników sztuki mieliśmy i mamy zawsze za mało. Talentów natomiast nie brakło u nas nigdy. Jednak drobna tylko część talentów dojrzewa do pełni swoich możliwości. Bo aby się mogła rozwinąć należycie — potrzeba jej odpowiedniej atmosfery. W chłodzie zapoznania, na mrozie obojętności niszczeje najwspanialej zapowiadająca się roślina. W dziejach sztuki naszej znajdziemy nie jeden dowód na to, do jakiego stopnia mądry, głęboki, oddany miłośnik sztuki wpływał na ożywienie się twórczości artystycznej, podniesienie się poziomu wysiłków u twórców i rodzaju popytu u odbiorców. Wartoby, obok historii naszej sztuki napisać historię jej mecenasów. Byłaby to książka ogromnie pouczająca i sprawiedliwa, bo stanowiłaby akt wdzięczności wobec tych, którzy sami nie tworząc, twórczość powodują i umożliwiają.

A mecenasostwo prawdziwe, kulturalnie dodatnie — to sztuka w swoim rodzaju. Wiemy jak łatwo tu o niedźwiedzią przysługę. Wiemy do jak żałosnych rezultatów prowadzi oficjalna, „urzędowa" opieka nad sztuką i artystami. Innych tu potrzeba metod i innych programów, niż te, które przeróżne „czynniki" ustalają na drodze zarządzeń biurokratycznych. Jedna jest tylko droga wiodąca do takiego czy innego oddziaływania na sztukę i jej twórców, wywodząca się nie z mocy rozporządzeń, lecz z najgłębszych nakazów wewnętrznych.

Prądzyński z zakłopotaniem i nieomal z niechęcią patrzy na liczne dowody uznania złożone z okazji jego jubileuszu. Działalność swoją uważa on za tak się samo przez się rozumiejącą, za tak naturalnie wynikającą z przyjętych na siebie przed pół wiekiem obowiązków, że składane mu gratulacje przyjmuje nieomal z zażenowaniem. A nadto uważa, że daleko jest jeszcze do końca jego roboty. Zwłaszcza teraz, w okresie wyjątkowej depresji kulturalnej. Mroki zaciągają coraz gęstsze. Zmniejsza się katastrofalnie tętno życia kulturalnego małych środowisk. Jakże tedy zejść ma ze swego odpowiedzialnego posterunku ten, który pięćdziesiąt lat temu stanął do walki z ciemnotą „światów zabitych deskami". Zwłaszcza, że przez ten tak długi okres nieutrudzony bojowiec nie stracił nic ze swej młodzieńczej wiary i entuzjazmu z przed pół wieka. Pochylony wiekiem i posiwiały w boju trwa Andrzej Prądzyński nieutrudzenie na straży świętego ognia kultury.

DR STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

ANIELA PAJĄKÓWNA CZYLI SERCE KOBIETY

(KARTKA Z DZIEJÓW MŁODEJ POLSKI)

W świetlistej aureoli wynurza się ku nam postać Anieli Pająkówny (1864—1912), gdy patrzymy na poczynania artystyczne i kulturalne Krakowa i Lwowa w okresie poprzedzającym Młodą Polskę. Ta skromna nauczycieleczka, wychowanica wielkopańskiego domu Pawlikowskich z Medyki, dzięki ich poparciu wyjeżdża do Paryża, studiuje w latach 1886—1888 u Carolusa Durand i Hennera wystawiając portrety, studia i krajobrazy zagranicą, później w kraju, szczególnie we Lwowie. Należąc do grupy impresjonistów nie sięgając może szczytów doskonałości, pracuje intensywnie nie tylko jako artystka - malarka. Porwana rozmachem mecenasowskim swoich patronów, Pawlikowskich, interesuje się ich pracą oświatową, oddaje z zapałem całą swoją gotówkę, kilkanaście tysięcy florenów, na cele wydawnictwa, kierowanego przez Antoniego Potockiego. Nie dziw wobec tego, że nawet poniósłszy ciężką stratę materialną, zwróciła uwagę na „Życie", zwłaszcza od chwili, kiedy jego redaktorem został Przybyszewski odpowiadając jej ideałowi człowieka i artysty.

Każdy numer pisma jest dla niej objawieniem. Zachwyca się artykułami, planszami, kierownictwem. Na kogokolwiek ma wpływ, narzuca mu obowiązek prenumerowania pisma, zmusza do tego niezdecydowanych, jest ideową, bezinteresowną agentką „Życia" w swoim środowisku. Wyraża gotowość przystąpienia z swoimi skromnymi środkami — miała 150 fl. miesięcznego zaopatrzenia ze strony

ALICJA IWAŃSKA:

CZTERY WIERSZE

DO HORACEGO

W Rzymie, Atenach, Sabinum
daleki żywot twój płynął,
Horacy...
Po Via Appia i Sancta
samotnie chodziłeś na spacer
i chaos natchnień zawiłych
nigdy Ci nie był podnietą —
nie krwią! — mózgiem i śmiechem tworzyłeś,
poeto...
Metrycznych stóp twych wierszy
żaden czas nie zatrzymał
na sercach odmierzasz je dzisiaj
jak wtedy na życiu Rzymian...
I coraz więcej dziwi
i coraz dziwniej wzrusza
to twoje »Carpe diem«!
Quintusie Horacjuszu...

BURZA!

Chmura z chmurem spleciona,
chmurzyć Bóg jej nie wzbraniał.
Chmura zwarła się, błyskiem rozwarła
e-le-ktrycz-ne wy-ła-do-wa-nia!!!
Chmura z chmurem złączona, zemdlona,
chmur do chmury w miłosnym śnie lgnie
chmura chmurczem elektrycznem płacze,
rozpłakany żar modlitw w dół śle!...
— człowiek i łza przewodnik...
— Na granicy cudzych zatraceń
nic nas nie chroni. źle —
Gdy się w mózgu ściera, kłębi, wije,
gdy to zdali zapala, rozmarza,
nie dotykaj ustami ziemi,
Prąd zabije, spali. U-wa-żaj!!!

EPITAPHIUM NA ŚMIERĆ TRYTONA

Zniknął gdzieś biały Tryton
...tak długo w akwarjum dumał
aż z smutku umarł
a może go zabito? —

Płaczą czarne Trytony
i z żalu bledną
Biały tryton to ich życia sedno
biały tryton w grobie położony...

Razem z białym trytonem umarło
całe akwarjum...

STORCZYKOWE PRZEŻYCIE

Napisane dla
Ali Kozikowskiej-„Storczyka"

Storczyk zakwitł eukaliptusem,
urozkwietnił
dziwo-krętą-duszę...
rozpotworzył
pletwy włoso-krople,
Na chwieisto-drżący zapadł kompleks
różowiasto
listo-usta wydłużył
przeraziła go istota własna,
zielenistym liściem zaszeleścił
rzęso-mrużem
zatrzepotał,
zapachniał...

---

pp. Pawlikowskich — do pomagania w utrzymaniu tej ważnej placówki, jaką jest „Życie". Otoczenie znając jej zapalną naturę stara się studzić jej entuzjazm i ukazać jej redaktora „Życia" we właściwym, nie zawsze różowym świetle. Czyni to szczególnie zacna pani Helena Pawlikowska, opiekunka, zastępująca jej prawie matkę. Listy jej do entuzjastycznej prenumeratorki „Życia" to prawdziwe klejnoty obserwacji i sądów literackich i pierwszorzędne dokumenty nastrojów młodopolskich.

„O „Życiu" i Przybyszewskim cóż ci jeszcze powiem, oprócz tego co ci powiedziałam wczoraj (16 listopada 1898). Przybysz. jest „alkoholik nałogowy" czyli poprostu pijak, który jednak nigdy pijanym się nie wydaje. Ja sądzę, że pisze będąc bardzo excytowanym, w rodzaju rozmaitych faz delirium tremens. Może powietrze rodzinne, inne stosunki i warunki życia otrzeźwią go, pozwolą spojrzeć przytomniej i zdrowiej, a wtedy — mógłby się stać geniuszem, bo jest w nim materjał, jest w nim talent i dusza niezwykła Jeżeli pozostanie takim, jakim jest, to wpływ jego dodatnim nie będzie, a wpływ jego wielki na grono młodzieży i artystów — formalnie szaleją za nim, zwą Messjaszem, a urok jego ma być tak wielki, że nikt oprzeć mu się nie zdoła. Idalka, Sewerowa nie mogą się o nim nagadać, choć tylko człowiek, a nie to, co on pisze, im się podoba. W życiu ma być zupełnie inny niż w piśmie, skromny, prosty, naturalny, stąd więc sądzę, że w nim jest dwóch ludzi, że pisze w rodzajach wizyj, egzaltacji nienaturalnej".

Można sobie wyobrazić wrażenia, które wywoływały podobne słowa. Czy był kiedy artysta w Polsce, o którym pisanoby z taką mieszaniną zachwytu i grozy z przypisywaniem mu cech prawie nadprzyrodzonych? proroczej suggestii?

„Bardzobym pragnęła spotkać się z nim — mówi spokojna, zrównoważona arystokratka, pani Helena Pawlikowska. — Polakiem ma być całą duszą, cieszy się, że jest w kraju, powiada, że wchłania w siebie wszystkiemi porami polską mowę, serdeczny i ciepły jest w obejściu. Żona jego piękna, kochają się bardzo i nie rozłączają nigdy prawie, dzieci mają dwoje, biedni są bardzo. W Berlinie w takiej byli nędzy, że ona i dzieci puchły z głodu. Za „Życie" on nie zapłacił wcale, przeszło tylko kierownictwo z rąk Sewera w jego ręce. Gdy przyjechał, nie miał się zupełnie za co urządzić, więc na wyścigi zaczęli obdarzać go rozmaitemi rzeczami, a gdy z początku przyjąć nie chciał, a potem dziękował, dziękować nie pozwalała zhipnotyzowana młodzież, mówiąc, że przeciwnie oni winni mu wdzięczność, że raczył przyjąć ich ofiarę, że dumni są z tego, że mu przysłużyć się mogli. Jednem słowem uwielbiają, schodzą się do nich tłumnie. Jeden przyniesie szynki, drugi wina, trzeci cukru etc. i razem jedzą, piją, dysputują, czytają. Całkiem jakieś inne, norwegskie wnieśli życie, obyczaj. Ona także pisze i drukuje w Norwegji, swej ojczyźnie. Jest wątła, wygląda jak jakieś senne, rozwiewne marzenie — powiadają. Gdy np. w restauracji Turlińskiego lub u nich w domu, mąż zagada się po polsku, a ona nie rozumie i zmęczy się, to niewiele myśląc kładzie się na sofie, gdzie leżą porzucane paletoty tych panów i śpi. Dziwnie ma wyglądać jej poetyczna postać w tem miejscu i otoczeniu, śpiąca na tych paletotach. W każdym razie ciekawi, bardzo ciekawi ludzie, ciekawe ich obyczaje, zwyczaje, wyobrażenia, ciekawe ich dusze i umysły. Bardzo pragnę spotkać się z niemi. Bywają u Sewerów, Żeleńskich, Włod. Tetmajerów, zdaje się u Idalki także, Axentowiczów, Piotrowskich... Co się tyczy ilustracyj „Życia", to tem Wyspiański głównie kieruje. Pieniędzy nie mają, więc odbijając używają klisz już zużytych, na pół zamazanych, które Przyb. otrzymuje z Niemiec, Norwegji, Wyspiański zaś z Wiednia, stąd źle się to prezentuje, przynajmniej jeszcze gorzej niżby mogło. A Tobie? Czy przypadają do gustu? I czy tłumaczenia obrazów Muncha, pióra Przybyszewskiego, rozumiesz? Ja rozumiem niby, ale za te obrazy stanu duszy dziękuję. „Symbol" jest wadliwie narysowany, a ramy nieprzyzwoite, na stole w przyzwoitym domu nie mogą przecie leżeć takie rzeczy, jak płód niedonoszony w łonie matki i różne koło niego przynależności, tatałaszki obrzydliwe; — zresztą kobieta tak zbudowana, jak ta w „Symbolu" matką być nie może. „Upiór" wygląda jak niedoskubana kura. Wogóle „uprzejmie" dziękuję za takie obrazy. Ta na mostku siedząca to krzyczy porządnie, tylko nie wiedzieć czego... W „Wigiljach" Przyb. śliczne są ustępy, ale co ten „biały królik" i ta „bezpierśna znaczy, to już tego nie wiem..."

Żadne ostrzeżenia i ironiczne uwagi nie zmieniły sentymentu Anieli Pająkówny do „Życia" i jego redaktora. Kiedy w lipcu następnego roku byt pisma się zachwiał, podała projekt, by zwrócić się o pomoc do Paderewskiego i jako artystka, której łatwiej taka interwencja ujdzie, zaofiarowała się pojechać do mistrza sama. Jak grom z jasnego nieba spadła na nią wiadomość ze Lwowa o miłości Przybyszewskiego z Jadwigą Kasprowiczową. Starała się za wszelką cenę przeszkodzić nieszczęściu. Wzywała przyjaciół, szczególnie dra Moraczewskiego i W. Stefańczyka, by przywiedli Przybyszewskiego do opamiętania. Sama w tym kierunku robiła rozpaczliwe próby, wszystko napróżno. Z swej strony zresztą uległa czarowi osobistemu niesamowitego demona zakochując się w nim bez pamięci. Subtelna jej opiekunka przeczuwa katastrofę i rzuca jej melancholijną uwagę:

„Możeby ci było lepiej, gdybyś nas była na drodze życia nie spotkała i nie dojrzała przez nasze pośrednictwo szerszych horyzontów. Ale stało się, musi już tak być, jak jest, Bóg świadkiem, że chcieliśmy dobrze".

Broniło się biedne serce kobiety. Gdy w kilka miesięcy później „Życie" upadło i Przybyszewski zawitał do Lwowa, panna Aniela zawsze dumna, harda i wyłączna, gdy szło o uczucie, zebrała się na bohaterską ofiarę i wycofała się do Żabia. Wróciwszy jesienią 1900 roku do Lwowa na okres kończenia przez Przybyszewskiego „Złotego runa", powstającego pod natchnieniem Jadwigi Kasprowiczowej, nie załamała rąk, gdy po kilku tygodniach, nagle, bez pożegnania opuścił Lwów. Na wieść o katastrofie tyflijskiej nie zjawiła się u kochanka w Warszawie. Milcząc, czekając próżno na jego spontaniczne zjawienie się u jej stóp, ukryła się w zapadłym, galicyjskim miasteczku z swym bólem i — dzieckiem. Marzeniem jej, przez wiele lat niezniszczonym, było, żeby córce móc nadać nazwisko sławnego ojca. Znana na gruncie lwowskim i związana towarzysko z najlepszymi sferami, miała odwagę zjawić się w mieście z nieślubnym swem dzieckiem i stawić pogodnie, odważnie czoło pustym lwom i lwicom salonów, które wypowiedziały jej dom i znajomość. Nie skorzystała z rady, by dziecko podawać za swoją wychowanicę, nie afiszując się z nim, oddała się całkowicie jego wychowaniu.

Dopiero w okresie monachijskim zreflektował się Przybyszewski, jak małodusznie postąpił wobec niezwykłej tej kobiety. Prosił i otrzymał przebaczenie. Czyż Aniela Pająkówna mogłaby odmówić komu przebaczenia? Czyż miała kiedy żal istotny

---

Alfred Kowalkowski:

SZALEŃSTWA MARZEŃ

Słońce słubarwne kwitnie w lazurze twych oczu,
Miękki zapach młodości jak mgła nas otoczył.
Patrzysz w ciszę, co łączy nas tętniącym węzłem
I ważysz sercem myśli, w bliską dal ugrzęzłe.
Uśmiechem kwiatu radość na ustach ci błyska —
Rozśpiewałaś się w wiosny jaźń płaszęcą wszystka.
— Czas szumi. Drżące chwile, jak stada gołębi,
Mijają nas, nie tknąwszy dusz płonących głębin.
Lecz szałem jest czekanie dla mnie i rozkoszą
I tak chcę tylko kochać o ból wieczny prosząc.
W złoto upojeń stopię twe spojrzenie każde,
Rozpacz stłumię trucizną nadziei odważnie.
— Chcę być niczym — najmniejszym
z najmniejszych — atomem,
By nieskończonym było me szczęście znikome.

Bogdan W. Zakrzewski:

OCZEKIWANIE

Niebo za miastem dalekim opadło.
Czekam, czy wrócisz księżycowym śladem
i poznasz dom mój, zaczajony w drzewach.
Ręce na mchach porosłych sztachet kładę
i słucham białych dróg, co biegną po wsiach...

Cisza chodziła mokrą trawą
i nie wiem, czy z miasteczka przyszła mnie
zasmucić.
Lipy szeptały liściem padających sekund:
wróci... nie wróci... wróci...
Stoję schylony i słucham.

do niego, który tak szybko zapomniał o niej? Nie narzucała mu się nigdy, śledziła z zainteresowaniem dalszą jego twórczość. Jeśli parę razy widziała się z nim jeszcze we Lwowie, Monachium, w Gries, w Paryżu, to tylko dlatego, żeby Stasia poznała swego ojca, żeby przywykła do niego i zdążyła go pokochać, jak córka winna kochać ojca.

Z biegiem lat pełnia jej ofiary zarysowała się w świadomości Przybyszewskiego zupełnie wyraźnie: „Wiem, wiem, żem Ci ogromną krzywdę wyrządził — jedno mnie uniewinnia: byłem obłąkany". W korespondencji do opuszczonej zawarł całą rzewność spóźnionej pokuty, wszystkie wyrazy uduchowionego uczucia, żal, który dyktowało mu serce. W chwilach tęsknoty wspomina jej piersi, nad które nie widział piękniejszych i przeżywa w myśli cud swej krótkiej, lecz żarliwej miłości, która prysnęła niepowrotnie i szybko jak sen. Napełniała go troską obawa, czy przewrażliwiona, zbyt czuła matka, nie rozpieszcza córki, dawał rady i wskazówki, karał słabość, wykonywał zdaleka i poza plecami oficjalnej żony nadzór nad wychowaniem dziecka. Wyjazd do Holandii w r. 1910 i przybycie z odczytem do Paryża był bez wątpienia podyktowany pragnieniem, żeby raz jeszcze zobaczyć ukochaną.

Gdy w dwa lata później zamknęła na wieki swe oczy, wstrząśnięty do głębi autor „Mocnego człowieka" powtarzał bezradnie: święta, święta — poprzez całe swoje życie — zbiedzone, zmarnowane życie będzie mi ta świętość tej jedynej, wielkiej duszy przyświecać". Chcąc bodaj po śmierci dać jej ekspiację, zarządził, by jego miłość ujawniono publicznie, a listy do Anieli pisane ogłoszono po jego śmierci drukiem. I znów powtarzał: święta, święta — kajał się i płakał. Melancholijnie kończyło się „indyjskie lato" redaktora „Życia". Smutną pociechą miała mu być sława córki jego i Ani·li Pająkówny, Stanisławy Przybyszewksiej-Panieńskiej (1901—1935), która zabłysnęła wielkim talentem w dziedzinie dramatopisarstwa.

ALFONS SZYPERSKI:

MUZEUM FREDRY W WIELKOPOLSCE

Ciche ustronie nad Prosną — Młode etnografki — Wnuczka sławnego komediopisarza mieszka pod Kępnem — Co warto zwiedzić w Siemianicach? — Wspaniały cykl obrazów fredrowskich Juliusza Kossaka — Hr. Maria Szembekowa

Do samego podgrodzia ruin warowni bolesławieckiej sięgają mokre łąki siemianickie. Z zamczyska Bolesława Pobożnego zostały jeno kruche resztki murów, doły na majdanie za śladami krużganków i wysoka, wieloboczna baszta przypominająca wieżę kruszwicką. Z wałów widać na tle wstęgi lasów ciężkie wieże miasteczka śląsko-niemieckiego Byczyny, a o paręset metrów w kierunku wschodnim gęszczą się powyginane nędzne dachy znanego ongi „polskiego" Bolesławca. Baszta stoi na samej granicy śląsko-wielkopolskiej; opływająca ją rzeka Prosna oddzielała dawniej Poznańskie od Królestwa.

W tymto, wiecznie nad jakąś granicą obcego państwa spokojnie położonym zakątku powiatu kępińskiego, leży wieś Siemianice. Od półtora wieku własność Szembeków. O starożytności osady świadczą liczne wykopaliska prehistoryczne opisane w Rocznikach pozn. Tow. Przyjaciół Nauk przez Zofję Szembekównę, zasłużoną badaczkę regjonu kępińskiego. Ona i siostra Jadwiga, prawnuczki Aleksandra Fredry, z zapałem od najwcześniejszej młodości uprawiały studja nad folklorem południowej Wielkopolski. Podziwu godne wysiłki kilkunastoletnich panienek zostały opublikowane w osobnym tomie przez Pol. Akad. Umiej. Młode hrabianki opisywały zwyczaje, sprzęty ludowe, pieśni, znaleziska archeologiczne, ilustrując badania dokładnemi rysunkami i nutami.

Skoro mowa o Szembekach, przypomnieć się godzi o wielkich zasługach dla kościoła arcybiskupów i biskupów z tej rodziny pochodzących. Ich portrety zdobią galerję obrazów Siemianickich. W podziemiach kościoła parafjalnego spoczywa między innymi Piotr Szembek, jenerał brygady, gubernator Warszawy w dobie napoleońskiej i organizator wojsk polskich. Pomijając kanclerza Augusta III, Jana Szembeka, wymieńmy jeszcze posła do parlamentu niem. Piotra Szembeka, powstańca i inspiratora akcji styczniowej wśród chłopów kępińskich. On to w pałacu gromadził broń powstańczą: kosy, bagnety, karabele i wzbogacał arsenał, który przedstawia dziś dużą wartość muzealną. Wśród czekanów, rogów, karabinów, szpad, pancerzy, pistoletów, grot, kling, kołczanów, garłaczy, kordelasów, ryngrafów, kolczug, kindżałów, kusz i sztyletów przykuwa naszą uwagę słynna strzelba z Pana Tadeusza z napisem: Sagulas London à Bałabanówka.

Oprócz bogatych zbiorów szembekowskich znalazły schronienie w murach pałacowych liczne Fredroviana. Bieńkowa Wisznia pod Lwowem i Siemianice kępińskie — dwa żywe źródła wspomnień o największym komedjopisarzu naszym! Troskliwa ręka hr. Marji Szembekowej, wnuczki Aleksandra Fredry, od pół blisko wieku właścicielki dóbr siemianickich, pieczołowicie porządkuje puściznę i wszelakie pamiątki po sławnym dziadku. Najważniejsze wprawdzie rękopisy komedyj Fredry poszły w depozyt do lwowskiego Ossolineum, niemniej jednak w Siemianicach oglądać można autografy bajek fredrowskich, korespondencję komedjopisarza fragmenty sztuk teatralnych, różne wypisy i zapiski, aforyzmy, a nawet księgi i rejestry gospodarskie. Wiadomo bowiem, że Fredro był nietylko poetą, ale i ziemianinem. Pisał, gospodarzył i bawił się z wnukami, którzy go rozweselali, bo dręczyła go często melancholja. Był hipochondrykiem, jakże innym od Pana Jowialskiego czy Papkina. W podeszłym wieku pisał dla dzieci i wnuków wzruszające błogosławieństwa, również przechowywane w Siemianicach.

Osobny zbiór afiszów teatralnych ilustruje dawne obsady aktorskie; spotykamy tu nazwiska czołowych artystów polskich jako odtwórców fredrowskich. Dalej mamy też ordery wojskowe pisarza, wstęgi od wieńców, różne miniatury, medale bite na jego cześć, a nawet biurko, fotel ulubiony, kule, okulary itd.

Skierujmy wzrok na galerję obrazów. Szkic Matejki, Wywiórski, Stachiewicz, portrety Tomasza Lisiewicza, ale nadewszystko olśniewający cykl 14 akwarel Juljusza Kossaka. Sceny batalistyczne z życia Fredry-oficera napoleońskiego i jego bohaterskich przodków. Obrazy te malował Juljusz Kossak w latach 80 i 90 ubiegłego stulecia.

Stanowią one najpełniejszą i najwartościowszą galerję Kossaka, jaką przechowuje ziemia wielkopolska. Malował je mistrz w Krakowie,

zapatrzony w wielką sztukę autora „Ślubów panieńskich“ i wyczarował pendzlem ten sam rozmach, wykwint i smak. Lekkość i brawura scen zbiorowych, trzymana w karbach plątanina ludzi i koni jakże żywo przypomina jędrne potoki słów komedji fredrowskiej.

Jaka żywiołowość i szalony rytm życia bije z malowideł jak: Fredro w bitwie pod Peterswaldem 1813, albo Jan Fredro ocala króla Olbrachta na Bukowinie, Jan Fredro rozbija Tatarów 1520, Aleksander Fredro pod Hanau 1813, Jan Fredro przyprowadza własną chorągiew pod Smoleńsk.

Ruch i rasa — to dominanty artyzmu Fredry i Juliusza Kossaka. — Kossaka cykl fredrowski jest zbyt dobrze znany z reprodukcyj, by go tu bliżej charakteryzować, *chodzi nam raczej o podkreślenie wielkiej wartości regionalnych muzeów wielkopolskich, za jakie może być uważany pałac siemianicki.*

Przechodząc od pamiątek fredrowskich do innych osobliwości siemianickich zapiszemy w pamięci jeszcze nader cenny zbiór autografów polskich i obcych. A więc warjanty psalmów Krasińskiego, warjanty fragmentów Trylogji Sienkiewicza, manuskrypty Ujejskiego, Tetmajera, Niemcewicza itd., listy Mickiewicza, Orzeszkowej, Pola, Odyńca i moc innych. Parę tekstów literackich naszych klasyków, jeszcze niewydanych. Osobny dział tworzą dokumenty z powstań i autografy mężów stanu oraz naszych bohaterów narodowych.

W rodzinie Fredrów wena literacka jest dziedziczna. Syn Aleksandra, Jan Aleksander Fredro, pisał również sztuki teatralne, wystawiane na różnych scenach polskich. Mamy wydane jego trzy tomy komedji.

Liczne hołdy zespołów aktorskich dowodziły o jego popularności.

Niektóre komedie obchodziły, jak i ojcowskie, wszystkie sceny polskie. I wnuk, Andrzej Fredro, parał się piórem, ale większy talent ujawniła Maria Fredrówna Szembekowa, autorka kilku zbiorów wierszy różnych, przeważnie o tematach aktualnych, a tendencji publicystyczno-społecznej. Wydała również nowele i fraszki oraz dramat pod charakterystycznym tytułem: Pogrzeb, grany swego czasu p. t.: „Dziś i jutro“ w Poznaniu. Najbardziej celuje w aktualnej satyrze politycznej, wykazując w niej dowcip, lotność, humor i temperament pisarski. Przygotowane do druku fraszki - satyry iście po fredrowsku wydrwią i ośmieszą nowych ludzi i nowe czasy, aż się proszące o drugiego polskiego Moliera.

JÓZEF BRZEZIŃSKI:

MALARZE LESZCZYŃSCY PRACUJĄ

Bardzo dodatnim objawem obecnych fluktuacyj życia społeczno-kulturalnego jest niezależny ruch organizacyjny „prowincji“ w stwarzaniu i rozpowszechnianiu wartości artystycznych. Pod warunkiem jednak, że imprezy utrzymywane są na pewnym poziomie. Istnieje w tym ruchu bowiem wielkie niebezpieczeństwo łatwizny i banału, wobec niejednokrotnego braku kryteriów o prawdziwości poglądów i wartości wytworów np. pseudoartystycznych, nie mających nic wspólnego ze sztuką czy wytworów naprawdę wartościowych. dających coś kulturze ogólnej. Pewne ośrodki, często dalekiej prowincji, otrzymują dzięki samorodnemu ruchowi artystycznemu specjalny sobie wyraz, zależny oczywiście od rozporządzalnych dyspozycyj.

Grupa artystów malarzy w Lesznie zorganizowała swoją trzecią już wystawę zbiorową. Biorą w niej udział Leon Nowicki, Romuald Bogaczyk i Marian Wasielewski.

Jako zdecydowany portrecista wystąpił Nowicki, rozwijający stale zakres swoich możliwości oraz dbający o możliwe rozwiązanie nasuwających się problemów. Według obecnego dorobku artysty należy spodziewać się od niego coraz wyższej kultury malarskiej. Zachodzi tu jednak wielka różnica w jego sposobie portretowania, różnica zależna od modelu, nakładającego pewne więzy malarzowi. Artysta zostaje z różnych względów zmuszony do „fotografowania“ ze szkodą dla swoich rozporządzalnych, a szlachetniejszych zdobyczy malarskich. Najlepsze rezultaty osiągnął Nowicki w tych portretach, gdzie raczej szkicując kolorem, nie liczy się z upartym podobieństwem w doborze momentów syntetycznych. Tam, gdzie reakcja malarska zależy tylko od jego inwencji twórczej.

Znany już ze swoich prac graficznych Romuald Bogaczyk opracowuje nowe teki, które już w najbliższym czasie ukażą się. Jest to teka Bydgoszczy i teka morza Obecnie pokazał na wystawie rysunki oryginalne do opracowywanych tek litografii. Wysiłek artysty zmierza do pogłębienia i rozszerzenia dotychczasowych wartości. Pogłębieniu uległ pierwiastek emocjonalny jego twórczości. Grafika Bogaczyka zmierza coraz więcej do nastrojowego romantyzmu. W takich absorbujących go tematach jak berlinki czy morze, w impresyjnych błyskach świateł operuje całą gamą półtonów bez błyskotliwości i wyraźnej kreski. Każdy z jego wystawionych rysunków jest walką ujarzmienia chaosu plamy biało-czarnej. Każde ujarzmienie tego chaosu staje się wspaniałą wizją, ujętą w indywidualnie wypracowującym się stylu. Bogaczyk nie poprzestaje na grafice. Studiuje nadal portret opracowywany olejem i pastelem.

Marian Wasielewski pracuje od kilku lat w akwareli nad Biskupizną. Obecna wystawa stanowi fragment opracowywanego tematu. Ciekawe motywy zanikającego folkloru biskupiańskiego i tak już w szczątkowych formach przechowującego się, są tematem prac Wasielewskiego. W porównaniu z poprzednimi pracami z wystaw nie wykazuje indywidualność malarza żadnej nowszej ewolucji faktury i formy artystycznej, a skala barw uległa w ostatnim czasie nieświadomemu ściemnieniu.

Również sceny rodzajowe, jak tańce ludowe, sceny przed chatą, wykazują zbyt uproszczone schematyczne kompozycje. Przy większym wysiłku twórczym mógłby Wasielewski stać się dobrym malarzem rodzajowym, utrwalającym w plastyce swoiste piękno zanikającej kultury krobskich biskupian.

Jako gość grupy bierze udział w wystawie prof. Stanisław Lotz z Leszna. Zorganizowanie wystawy już trzeciej z rzędu oraz dzieła wystawione dowodzą, że malarze leszczyńscy pracują i dążą do osiągnięcia coraz to lepszych rezultatów, Wystawa jako wielki wysiłek organizacyjny doszła do skutku staraniem instruktora oświaty pozaszkolnej p. Walczaka, inspiratora kulturalnych imprez Leszna.

Z WYDARZEŃ KULTURALNYCH

Nagrody Poznańskie

Nagrodę miasta Poznania przyznano, jak wiadomo, Janowi Wronieckiemu i Arkademu Fiedlerowi. Nieczęsto zdarza się, aby nagrody przyznano tak słusznie i trafnie. Pod tym względem w latach ostatnich byliśmy w Polsce świadkami wydarzeń podważających w zupełności zaufanie w wartość moralną nagród artystycznych. Protekcjonizm i kombinatorstwo święciły nielada tryumfy. Z prawdziwą tedy radością notujemy nagrodzenia dwu artystów w całym tego słowa znaczeniu zasługujących na zaszczytne wyróżnienie. Twórczość Jana Wronieckiego i jego działalność pedagogiczna nazbyt są znane, aby je tu trzeba dopiero oświetlać. W jednym z pierwszych zeszytów »Wici W.«, przed pięciu laty, poświęciliśmy prof. Janowi Wronieckiemu obszerny artykuł. Często na łamach naszych ukazywały się reprodukcje dzieł tego znakomitego grafika wielkopolskiego. W przyszłości starać się będziemy zapoznać naszych czytelników z najnowszym dorobkiem artystycznym świetnego artysty i zasłużonego laureata.

Arkady Fiedler, rok temu nieznany wędrowiec, jest dziś najgłośniejszym podróżnikiem polskim. A jest nim dla tego, że o swych wrażeniach z podróży opowiada nam nie tylko Fiedler-podróżnik, ale przede wszystkim Fiedler-artysta. W następnym zeszycie »Wici W.« zamieścimy felieton Marjana Turwida napisany na tle rozmowy z najznakomitszym polskim podróżnikiem.

Wystawa Prasy Poznańskiej

Działalność Syndykatu Dziennikarzy Wielopolskich uległa ostatnio znacznemu ożywieniu. I tak, staraniem Syndykatu odbyły się dwa nader interesujące wieczory, wypełnione odczytami Adolfa Nowaczyńskiego i Izabeli Lutosławskiej. Prezes Syndykatu, red. Czesław Kędzierski, zamierza wprowadzić w czyn szereg dalszych imprez, które niewątpliwie pogłębią nurt życia kulturalnego Poznania. Na czas już niedaleki projektuje się zorganizowanie Wystawy Prasy Poznańskiej. Niezwykle interesująca ta ekspozycja odbędzie się jeszcze w pierwszej połowie b. r. Pomyślana jest ona nader oryginalnie i ujmie w ramach swych nietylko aktualny obraz prasy stolicy Wielkopolski ale również da bogaty pogląd na okresy minione. Zobaczymy więc prasę poznańską w perspektywie historycznej. Dział »pamiątkowy« wystawy przypomni nam postacie najwybitniejszych dziennikarzy i publicystów Poznania, przypomni nam najstarsze wielkopolskie dzienniki i tym samym wypełni lukę w dziejach wysiłków kulturalnych Grodu Przemysława. W związku z wystawą, ukaże się specjalny katalog, opracowany obszernie i naukowo i tak, by stanowił on jednocześnie wyczerpującą Historię Prasy Poznańskiej. Niewątpliwie wspomniana wystawa spotka się z wielkim zainteresowaniem, tak w kołach z prasą związanych, jak zwłaszcza w szerokim kręgu regionalistów. Postaramy się przeto — o dalszych poczynaniach Syndykatu w związku z wystawą — poinformować obszernie Czytelników »Wici W.«.

Nowa Sztuka Nowaczyńskiego

Adolf Nowaczyński w latach ostatnich coraz więcej uwagi poświęca Wielkopolsce. Rezultatem jego szczerego i głębokiego zainteresowania się sprawami Wielkopolski są liczne felietony na tle ludzi i dziejów wielkopolskich zamieszczane na łamach »Kuriera Poznańskiego«, »Tęczy« i t. d. Jak się dowiadujemy przystąpił Nowaczyński do gruntownych studiów nad Powstaniem Wielkopolskim w r. 1848. Wynikiem tych studiów ma być sztuka teatralna p. t. »Grzmią nad Wartą armaty«. Prapremiera odbędzie się w jednym z teatrów poznańskich.

Nowa sztuka znakomitego pisarza budzi już dziś w Wielkopolsce zrozumiałe zainteresowanie

Swarzędz w literaturze

Do literatury pięknej dostał się Swarzędz za pośrednictwem nowo wydanej książki Józefa Kisielewskiego Kisielewski, naczelny redaktor „Tęczy", od szeregu lat pracujący w Wielkopolsce, napisał powieść, której akcja rozgrywa się w Swarzędzu i w Poznaniu Interesującą tę książkę, która jest bardzo udanym debiutem powieściopisarskim autora, wydała Księgarnia św. Wojciecha. W następnym n-rze Wici W. „Powrót" Józefa Kisielewskiego omówi obszernie dr Jan Piechocki.

Leksykon Plastyków Wielkopolskich

Dr Alfred Brosig przygotowuje do druku leksykon artystów-plastyków wielkopolsk. Obejmie on nazwiska i zwięzłe charakterystyki plastyków wielkopolskich i dla Wielkopolski pracujących, od czasów najdawniejszych do dni dzisiejszych. Autor prosi wszystkich artystów - plastyków w Wielkopolsce o nadsyłanie danych tyczących się ich życia i twórczości. Adres: Poznań, Muzeum Wielkopolskie.

„Krew Ziemi"

Leonard Turkowski, wystąpi w najbliższym czasie z drugim tomikiem poezji. Pierwszy ukazał się w Bibl. Wici W. — Drugi zbiorek wierszy, dobrze zapowiadającego się poety, ukaże się pod tytułem: „Krew Ziemi". Na całość zbiorku złożą się trzy cykle utworów: „Krew Ziemi", „Walczyć o pokój" i „Głód".

Nagroda artystyczna Bydgoszczy

Zarząd Miejski wyznaczył w związku z „Salonem Bydgoskim" nagrodę dla plastyków w wysokości 600 zł. Nagrodę tę podzielono między czterech młodych a bardzo ciekawie zapowiadających się malarzy: Franciszka Gajewskiego, Władysława Frydrycha, Tadeusza Mokrzyckiego i Bernarda Lewandowskiego. Jak słychać, Zarząd Miejski zamierza w roku przyszłym przywrócić ongiś już uchwaloną nagrodę miasta Bydgoszczy w wysok. 5000 zł. Tym samym Bydgoszcz dałaby jeszcze jeden dowód, iż dorasta do roli dużego, poważnie swą misję kulturalną pojmującego, środowiska. (m)

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Więcej lasów Poznaniowi" to broszura wydana w Poznaniu 1936 przez Tow. Miłośników miasta Poznania pod hasłem: „Chrońmy istniejące lasy i szukajmy środków i dróg do zalesienia nowych obszarów w okolicach Poznania". Zawiera nast. artykuły: Z. Zaleski: Wstęp, Prof. Dr A. Wodziczko: „Rola lasów w życiu miasta", inż. Wł. Czarnecki i T. Płończak: „Lasy miejskie w planie zabudowania Poznania", inż. arch. R. Pękalski: „Uwagi o lasach w rejonie poznańskim", A. Chybiński: „Brak zieleni w Poznaniu, jego przyczyny i środki zaradcze" oraz rezolucje zebr. Tow. Mił. m. Poznania.

„Kronika Miasta Poznania" Nr 4 — rocznik XIV, kwartalnik poświęcony sprawom kulturalnym m Poznania (organ Tow. Miłośników m. Poznania) nakład Zarządu Miejskiego w Poznaniu str. 217. Treść: Dr A. Brosig: „Dzieje sztuki litograficznej w Pozn.", X. Dr Kantak: „Próba biografji Walentego Wróbla", Dr A. Wojtkowski: „O cudzie trzech Hostii i zapomnianym patronie m. Poznania". Zapiski. Dział bieżący. Kronika ważniejszych wydarzeń. Z ruchu wydawniczego. Notatki.

„Stosunki Polsko-Czeskie" Wacława Łypacewicza. II wydanie Warszawa 1936. Nakładem Polskiego Instytutu Współpracy z zagranicą — str. 61.

CZASOPISMA NADESŁANE

„Zaranie Śląskie" zeszyt 4, rocznik 12, wychodzi jako kwartalnik a jest organem Instytutu Śląskiego w Katowicach i Tow. Ludoznawczego w Cieszynie. Ciekawy ten numer zawiera: portret wojewody M. Grażyńskiego malowany przez Szukalskiego, oraz artykuły: Turowskiej-Barowej „Maria Konopnicka a Śląsk", L. Musioła „Początki przemysłu żelaznego nad Rawą", J. Szczepańskiego „W ustroniu", J. Dąbrowy „Pamiętnik „Zwiastuna Górnośląskiego", Wł. Dzięgiela „Pierwsza szkoła w Katowicach", J. Zabierzewskiej „Ziemia Śląska" (wiersz), M. Pilchównej „Miłość", J. Galicza „Edward Świerkiewicz (1808 — 1875)", Wł. Ligoty „Ondra Łysohorsky, pierwszy poeta laski", oraz działy: Materjały, Kronikę, Recenzje i Sprawozdania.

„Orlęta" nr 4—5. Na stronie tytułowej piękny rysunek L. Prauzińskiego poświęcony „Poznaniowi i Wielkopolsce" z okazji rocznicy Powstania Wielkopolskiego, oraz artykuły: Cz. Piskorskiego „Miasto Mieszka i Chrobrego", M. Kuszy „Pisarz wielkiej mocy", „Gorąco kochała", nowelę A. Nizińskiej „Szary dzień", Golański „Poznań pracuje", Z. Gromińskiej „Kiedy nadchodzą święta", wiersz Łomota „Grzmijcie! na alarm!". Z dni i miesięcy. Reportaże. Wiersze i in.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Marcelińska 6 m. 1 — Przedstawiciel redakcji Alfred Kowalkowski.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8 45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200 057.

